Jacek Getner

LIRA WYDAWNICTWO

Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej

MORDERSTWO w ORIENT ESPRESSO

Przypadek chodzi po ludziach...

MORDERSTWO w ORIENT ESPRESSO

Jacek Getner

MORDERSTWO w ORIENT ESPRESSO

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Warszawa 2021
Wydanie pierwsze
ISBN: 978-83-66966-66-6

Rozdział I
Morderstwo w Orient Espresso

Poczucie wyższości jest jedną z tych rzeczy, które fantastycznie rekompensują mężczyźnie fakt posiadania wzrostu przeciętnego dżokeja. Innym erzacem nieotrzymanych od Matki Natury centymetrów jest ogromnych rozmiarów samochód terenowy. Nieważne, że siedząc w nim, przypomina on Guliwera w Krainie Olbrzymów. Istotne jest to, że może zająć dwa pasy ruchu, przekonując wszystkich naokoło o własnej męskości. Jeśli dołoży do tego jeszcze blondynkę, która po założeniu szpilek przewyższa swojego partnera o dwie głowy, to niewysoki mężczyzna na bardzo wysokim stanowisku może się już czuć spełniony.

Żadnego z powyższych atrybutów nie brakowało wszystkim trzem panom, którzy spędzali obecnie czas w Orient Espresso, niewielkiej, gustownie urządzonej kafejce z sushi, schowanej przy Osobnej, jednej z bocznych uliczek warszawskiego Śródmieścia. Każdy z nich siedział w tej chwili samotnie przy czteroosobowym stoliku, rozłożywszy swoje rzeczy tak, iż miało się

wrażenie, że wszystkie miejsca są zajęte. Na stojących obok krzesłach leżały bowiem a to elegancka, bardzo droga skórzana teczka; a to płaszcz, wart tyle, ile kilkuletnie nie najgorsze auto; a to szalik, po sprzedaży którego niezamożna rodzina mogłaby jakoś przeżyć kolejny miesiąc.

Wszystko to były prezenty od kochających żon, narzeczonych lub partnerek. Oczywiście one same nie zaprzątały sobie swoich uroczych główek tak przyziemnymi czynnościami, jak zarabianie pieniędzy, które wystarczałyby na owe „drobiazgi". Owszem, czasem gdzieś pracowały, żeby się nie zanudzić czekaniem na wiecznie zajętych obowiązkami mężczyzn. Ale ze swoich dochodów nie byłyby w stanie opłacić nawet karnetu w odpowiedniej klasy fitness clubie. Nie mówiąc już o niezbędnych współczesnej kobiecie zabiegach korygujących kaprysy Matki Natury, która również im poskąpiła tego i owego. Na szczęście wynagrodziła je hojnie, stawiając na ich życiowej drodze panów z klasą, którzy znakomicie rozumieli ich potrzeby. One zaś w zamian mogły dla nich wybierać te wszystkie gustowne prezenty, rozłożone teraz z nonszalancją na krzesłach.

Na samych stołach, w porównaniu z otoczeniem, panował właściwie surowy ascetyzm. Stały na nich mikroskopijne filiżanki do kawy, kilka podstawowych przypraw oraz po dwie pary pałeczek do sushi, każda

osobno zapakowana. No i najwyższej klasy telefony komórkowe z ogromnych rozmiarów ekranami dotykowymi.

W tej chwili twarze mężczyzn były schowane za wielkimi płachtami gazet. Nie były to oczywiście żadne zwykłe dzienniki czy nie daj Boże, tabloidy. Była to odpowiednia prasa w odpowiednim języku, pozwalająca śledzić najnowsze trendy w ich branżach, co nakazywały im zajmowane stanowiska. Przekładając kolejne strony, byli przy tym przekonani, że profesjonalizm, z jakim tę czynność wykonują, wywołuje powszechnie duże wrażenie.

Niestety, żyli przecież w kraju zawistników, którzy nie potrafią docenić ich sukcesu. Dlatego też nikogo nie powinno zdziwić, że barman Karol Łatka, osiłek większy dwukrotnie od każdego z gości, kiedy zobaczył wracającą do baru swoją szefową, energiczną czterdziestolatkę Agatę Szycką, szepnął złośliwie:

— Czasem mam ochotę wbić w nich szpileczkę i posłuchać, jak z tych nadętych dupków uchodzi powietrze.

— Obawiam się, że nie znalazłbyś szpileczki, która byłaby w stanie przebić ich grubą skórę — zauważyła zgryźliwie właścicielka Orient Espresso.

— Wkurzają mnie te dupki.

— Ostatnio zrobiłeś się jakiś nerwowy. — Szycka spojrzała na niego zaniepokojona. — Nie myśl o nich i lepiej ciesz się, że nie musiałeś dla nich pracować. Ja

dopiero rok po tym, jak przestałam być korpoludkiem, zaczęłam spać jak człowiek. A gdzie jest ten czwarty? — zapytała, rozglądając się po sali.

— Nie wiem. Ale chyba nie uciekł bez płacenia, bo wszystkie jego rzeczy są na stoliku. Chociaż nie widziałem go już z pół godziny. Albo i dłużej… Może coś mu zaszkodziło i jest w ubikacji?

— Sprawdzę to — zdecydowała pani Agata i chciała ruszyć w stronę toalety, ale barman przytrzymał ją za ramię.

— Przecież on tam może siedzieć ze spuszczonymi spodniami. — Spojrzał na nią z łagodnym wyrzutem.

— Ale w kabinie, a ja…

— I tak nie wypada, pani dyrektor. Pójdę sam sprawdzić.

Karol minął zaczytanych profesjonalistów, którzy nawet nie drgnęli, gdy koło nich przechodził. Dopiero kiedy kilkadziesiąt sekund później usłyszeli krzyk przerażenia dochodzący z toalety, opuścili na moment płachty czytanych gazet. Zaraz jednak pewnie powróciliby do przerwanej lektury, gdyby nie to, że właścicielka Orient Espresso przebiegła obok nich jak błyskawica i dopadła drzwi toalety. One jednak, mimo energicznego szarpania za klamkę, nie miały zamiaru ustępować.

— Karol! Karol, otwórz mi! — krzyczała zdenerwowana. — Karol, co się tam stało?!

Odpowiedzią był jedynie przedziwny, potępieńczy jęk wydobywający się z toalety, choć brzmiący, jakby pochodził gdzieś z głębi piekieł.

W Szypułce, jednym z najmodniejszych lokali przy placu Trzech Krzyży, często bywały piękne kobiety, dlatego ich widok nie wzbudzał szczególnego zainteresowania pozostałych bywalców. W końcu po to są również takie miejsca, żeby przychodzili do nich młodzi, śliczni i perspektywiczni. Poza tym nie należało tu do dobrego smaku zwracanie przesadnej uwagi na niezwykłych gości, bo przecież zwykli śmiertelnicy tu raczej nie zaglądali. Dlatego w przypadku pojawienia się kogoś znanego, co najwyżej ktoś tam kogoś trącił ramieniem, pokazał głową lub dyskretnie szepnął coś na ucho.

Ale ta kobieta, zajmująca stolik przy wielkim panoramiczny oknie ze świetnym widokiem na plac Trzech Krzyży, ostatnio wprost nie schodziła z czołówek gazet. Gościła tam zresztą często wspólnie z towarzyszącym jej również obecnie mężczyzną. Cały kryzys gospodarczy, kataklizmy w kraju i na świecie, zamachy i mniejsze zbrodnie nie były bowiem ostatnio dla mediów tak interesującą sprawą jak rozpad małżeństwa wiceministra Urbanka i jego prześlicznej żony. Może nie tyle sam rozpad, ile fakt, że wpływowy polityk, członek złowieszczej Opus Dei, został podobno przyłapany

w jakimś gejowskim klubie. A może chciał zgwałcić jakiegoś niewinnego chłopaka? Albo urządzał orgię w ministerstwie?

Tego dokładnie nie wiedziano i nikogo to specjalnie nie interesowało. Grunt, że nielubianemu tu politykowi udowodniono hipokryzję, przez co stał się wdzięcznym obiektem do chłostania słusznym oburzeniem przez szczerych do bólu i uczciwych ludzi. Dlatego w zasadzie nikt nie miał pretensji do pięknej pani Urbanek, że poszukała oparcia w innym mężczyźnie.

Zastrzeżenia budził tylko jej wybór. Wszyscy przecież wiedzieli, że ten Przypadek, który z nią teraz siedział przy stoliku, dopuścił się wielu wykroczeń przeciwko ogólnie przyjętemu kodeksowi postępowania. A już największą jego zbrodnią było doprowadzenie do aresztowania znanego dziennikarza Szołtysika. I to za co?! Za posiadanie, w celach leczniczych rzecz jasna, głupiego pół kilograma marihuany.

Ta zbrodnia była świetnym powodem do darowania sobie wszystkich konwenansów i możliwości nieskrępowanego komentowania obecności tej pary w Szypułce. Tak też właśnie robiono w tej chwili, jednak ku zdziwieniu bywalców obgadywani nie przejmowali się wrogimi spojrzeniami czy komentarzami. Nie przeszkadzało im również to, że ktoś czasem pstryknął im fotkę swoim najnowszym modelem telefonu. Choć przecież musieli wiedzieć, że zaraz ich podobizny znajdą się na czyimś

koncie modnego portalu społecznościowego, opatrzone odpowiednio złośliwym komentarzem.

Tej atmosfery niechęci nie mógł niestety poczuć podkomisarz Łoś, który obserwował panią Urbanek i Przypadka nie z wewnątrz lokalu, ale z zaparkowanego kilkadziesiąt metrów od Szypułki samochodu. On jednak również żywił do słynnej pary uczucia nieodbiegające od tych, jakimi darzyli ich bywalcy owego lokalu. Trudno mu się było dziwić. To przez Urbanek i Przypadka, zamiast zajmować się czymś sensownym, na przykład łapaniem przestępców, musiał tu tkwić.

— Długo ich jeszcze będziemy śledzić, panie komisarzu? — zapytał smętnie starszy aspirant Smańko, z nudów i odrobinę dla rozgrzewki pucujący szmatką wnętrze radiowozu.

— Przeszkadza wam to?! — warknął Łoś.

— Nie, nie… Ale nie spuszczamy ich z oka od Wszystkich Świętych, czyli już jakieś dwa tygodnie. A oni tylko do kina, na spacer, do restauracji, a na noc do domu tego Przypadka.

— I co z tego?!

— No… to żadne przestępstwo jest.

— Myślicie, że nie wiem?! Ale skoro inspektor Zasada kazał nam nie spuszczać z nich oka, to znaczy, że ma jakiś powód. Rozumiecie?

Smańko tylko kiwnął głową i uznał, że nie ma sensu nic więcej mówić przełożonemu, bo tylko go tym zdenerwuje. Nie przekonają też z pewnością podkomisarza plotki krążące po policyjnych korytarzach, że wiceminister spraw wewnętrznych Urbanek, odpowiedzialny za tę właśnie służbę, jest już właściwie na wylocie, bo premier się na niego zdenerwował.

— Do wszystkich radiowozów. Na Osobnej w Orient Espresso prawdopodobnie popełniono morderstwo. Odbiór — zaterkotało nagle w policyjnym radiu i ta wiadomość tak zelektryzowała starszego aspiranta, że aż uderzył głową w podsufitkę.

— Panie komisarzu, słyszał pan?

— A czy wyglądam na głuchego?

— Osobna to taka mała uliczka niedaleko. Boczna od Wspólnej.

— Myślicie, że nie znam Warszawy, Smańko?!

— No to może… może byśmy…

— Mamy swoje zadania, Smańko.

— To może ja sam. Skoczyłbym tam szybko i zorientował się we wszystkim. Do patrzenia na nich wystarczy sam pan komisarz. — Słowa starszego aspiranta jeszcze nie zdążyły przebrzmieć, a on sam wiedział już doskonale, jaki straszliwy błąd popełnił.

— Co?! Co wy sobie myślicie, Smańko?! Jesteście tylko starszym aspirantem. I jeśli ktoś ma sprawdzić, co się tam stało, to ja! — Podkomisarz Łoś ruszył

zdecydowanym krokiem w kierunku ulicy Osobnej, ale po chwili odwrócił się do podwładnego. — Dajcie znać centrali, że udaję się na miejsce zdarzenia.

— Ale co ja mam robić, jak ten Przypadek zacznie się stąd oddalać?

— Jak to co? Obserwujcie go do czasu, aż zakończę sprawę tego morderstwa.

— Takie śledztwo może potrwać nawet kilka tygodni — zauważył zaniepokojony starszy aspirant.

— Bądźcie dobrej myśli, Smańko. Czuję, że pójdzie mi jak z płatka i za kilka godzin będzie już po wszystkim!

Do pisania można znaleźć wiele motywacji. Można to robić dlatego, że ktoś postanowił dać nam takie zlecenie, a my akurat uprawiamy zawód, który na pisaniu polega. Można też robić to, ponieważ uważamy, że mamy coś interesującego do powiedzenia i chcemy się tym podzielić z innymi ludźmi. Można też umiejętnością składania słów popisywać się dla zdobycia poklasku lub wzbudzenia zainteresowania płci przeciwnej, co od pokoleń czynią wszelkiej maści poeci, a od pewnego czasu również poetki.

Ale bez cienia wątpliwości najlepszą motywacją, która powoduje, że nasze pisanie wspina się na szczyty, i sprawia, że inni czytają nas z wypiekami na twarzy, jest twórcza pasja. Czyli coś takiego, co

onegdaj kazało chwycić za pióro, a dziś każe stukać w klawiaturę komputera. Bo jeśli się tego nie zrobi, to człowiek po prostu wybuchnie i rozpadnie się na tysiąc kawałeczków.

Takiego stanu twórczego przymusu doświadczała właśnie redaktor Anna Sobania. Co więcej, pozostawała w nim od dwóch tygodni, zbierając zewsząd pochwały za swe niezwykle dociekliwe i demaskatorskie teksty, które z dnia na dzień pogrążały niezbyt lubianego w środowisku dziennikarskim wiceministra Urbanka. Teraz właśnie kończyła kolejny z nich, którym miała zamiar ostatecznie zatopić polityka.

— No, no, widzę, że nasza gwiazda jest w swoim żywiole. — Malwina Żarska, najlepsza przyjaciółka redaktor Sobani, uśmiechnęła się, przysiadając na krzesełku obok niej.

— Zazdrosna? — zapytała od niechcenia Ania, pracowicie stukając w klawiaturę komputera.

— Ależ skąd, bardzo się cieszę z twojego sukcesu — zapewniła z właściwą sobie szczerością Malwina. — Ale chętnie skosztowałabym owoców swojego — dodała, cedząc powoli słowa, jakby chciała mieć pewność, że każde z nich dotrze do uszu przyjaciółki.

Efekt ten bez wątpienia udało jej się osiągnąć. Sobania wprawdzie nie zaprzestała pisania, ale jej palce nie biegły już z taką szybkością po klawiaturze, z twarzy zaś znikł zapał i radość z dobrze wykonywanej pracy.

— To nie jest twój sukces, ale moja… — szukała przez chwilę odpowiedniego słowa, bo określenie „porażka" utknęło jej gdzieś głęboko w gardle i nie chciało się wydostać na zewnątrz. — To znaczy moje potknięcie.

— Nazywaj to, jak chcesz. Grunt, że powinnaś opłacić mój trzymiesięczny karnet w fitness clubie. Bo chyba nie masz już cienia wątpliwości, że pan Przypadek oparł się twojemu urokowi?

— Wątpliwości to nie mam co do tego, że go nie mam ochoty więcej widzieć. I cieszę się, że nie udało mi się odnieść sukcesu. Wszystko przez ten zakład z tobą. Inaczej nigdy bym się nie zainteresowała tak irytującym dupkiem jak on. Poza tym, pewnie gdybym wtedy nie wypiła trochę za dużo, w życiu bym się z tobą nie założyła.

— Proponowałam ci potem kilka razy rezygnację z tego zakładu.

— Nie musisz mi tego przypominać! — zirytowała się Sobania.

— Po co te nerwy? Czyżbyś tak bardzo odczuwała brak pana Sakowicza?

Palce redaktor Sobani, które jeszcze przed chwilą z pewnym wysiłkiem klepały klawiaturę, teraz zatrzymały się na dobre, a jej oczy, patrzące w tej chwili na Żarską, zwęziły się niebezpiecznie.

— A to już nie jest twój interes — fuknęła. — Czep się tego swojego… misia!

— Taki mam zamiar i to już dziś wieczorem. I chyba go nie wypuszczę przed północą.

— Przed północą? — Sobania poczuła, że jest możliwość interesującej riposty. — Czekaj, czekaj, to znaczy, że on musi wracać na noc do domu. Pewnie jeszcze mieszka z mamusią i ma mleczko pod nosem. Zawsze gustowałaś w gówniarzach. Tyle razy ci mówiłam, że powinnaś sobie poszukać jakiegoś dorosłego faceta. — Pokręciła głową z dezaprobatą. — A za twój karnet zapłacę przy najbliższej okazji.

— Czyli?

— Nie wiem. Teraz, jak widzisz, mam bardzo dużo pracy. Ale myślę, że już bardzo niedługo będzie po wszystkim.

— Uwierz, że wprost nie mogę się tego doczekać. — Malwina podniosła się z krzesełka. — No lecę. Podobno kogoś zamordowali na mieście.

— Zaraz, zaraz… — Anię coś zastanowiło na tyle, że postanowiła na razie zarzucić w ogóle pisanie. — Tak się nie możesz doczekać, bo brak ci pieniędzy na karnet, czy tak bardzo nie lubisz wiceministra Urbanka, że życzysz mu dymisji?

— Ani jedno, ani drugie. Jako doświadczona dziennikarka po prostu wiem, że prawdy można się dowiedzieć dopiero wtedy, gdy emocje opadają.

— Jakie emocje? O co ci chodzi?

— Jestem po prostu ciekawa, po co pan Przypadek sprzedał ci tę historię.

— Jak to mi sprzedał?! — zdenerwowała się nie na żarty redaktor Sobania. — On mi nic nie sprzedawał…

— Aha, i ja mam uwierzyć, że po prostu dał ci się przyłapać na randce z żoną wiceministra Urbanka?

— No… umówił się z nią po spotkaniu ze mną.

— Aniu, ty naprawdę wierzysz, że to był zbieg okoliczności? A informacja o tym, że Urbanek to pedał, tak ci spadła sama z nieba, czy niechcący wypsnęła się z ust pana Przypadka?

— Ty mi jednak zazdrościsz! — Redaktor Sobania rozpaczliwe szukała jakiegoś racjonalnego usprawiedliwienia dla okrutnych słów Malwiny. — Po prostu nie możesz znieść, że wytropiłam największą aferę od czasów Rywina!

— Oj Aniu, Aniu. — Żarska spojrzała na koleżankę z dobrotliwym pobłażaniem i to było chyba dla Sobani najgorsze. — Ja wiem, że ty szczerze żałujesz, że zainteresowałaś się Jackiem, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że to nie jest idiota, który by pokazywał zawiedzionej kobiecie swoją nową wybrankę?

Tak, pasja to najlepszy powód do pisania. Dzięki niej słowa same składają się w zdania, zdania w akapity, a akapity w jeszcze większą całość. Ta całość zaś potrafi porwać czytelnika tak, że ten wprost nie może oderwać się od tekstu.

Gdy jednak pasja znika, autorowi nie jest łatwo znaleźć jakąkolwiek motywację do pisania. Bo każda z nich jest gorsza od tej, która nagle się ulotniła. I nie chce się stuknąć choćby nawet w jedną małą literkę na klawiaturze.

To, że podejrzani jak najszybciej chcą się oddalić z miejsca zbrodni, nie było absolutnie rzeczą niezwykłą. W końcu jeden z nich był zapewne mordercą i miał znakomity powód do ucieczki. Lecz niezwykłe było to, że postanowili to zrobić wszyscy naraz i to w zasadzie w ten sam sposób.

— Ja żądam, podkreślam, żądam natychmiastowego wypuszczenia mnie z tego miejsca! — Mężczyzna w bardzo drogim płaszczu, z jeszcze droższą teczką w ręku usiłował dostać się do drzwi wyjściowych z Orient Espresso, ale przeszkodził mu w tym drugi mężczyzna dysponujący podobnymi atrybutami.

— Nie, proszę pana, to ja żądać, aby mnie wypuszczono w pierwsza kolejność. — Drugi z mężczyzn przeciągał i akcentował słowa w sposób charakterystyczny dla rodaków, którzy przybyli zza Wielkiej Wody. — Pan sobie nie zdaje sprawa z tego, jaka strata może ponieść gospodarka ten kraj przez moja nieobecność w dżob. — Odepchnął pierwszego i być może znalazłby się już przy drzwiach, gdyby trzeci z gości lokalu nie chwycił go za ramię i nie krzyknął:

— Na pewno nie takie jak moja! Ja autoryzuję wszystkie większe transakcje naszego funduszu emerytalnego na giełdzie! Kto wie czy tam akurat nie panuje bessa, a premier nie rwie sobie włosów z głowy!

Podkomisarz Łoś już po pięciu sekundach pobytu w Orient Espresso szczerze żałował swojej decyzji o pojawieniu się w tym miejscu i przeklinał starszego aspiranta Smańkę za to, że go do tego podkusił. Ale teraz nie mógł się już wycofać. Centrala dowiedziała się o tym, że „udaje się na miejsce zdarzenia" i teraz musi jakoś opanować sytuację do czasu przyjazdu ekipy technicznej zabezpieczającej ślady.

To mogło jednak nie nastąpić tak szybko, ponieważ akurat niedaleko Warszawy pewien guru postanowił pozbyć się większości swoich wyznawców. Dlatego chwilowo wszyscy specjaliści udali się na miejsce tamtego zdarzenia, a podkomisarz musiał przez kilka najbliższych godzin sam opanować sprawę. Tymczasem miał naprzeciw siebie trzech rozjuszonych samców alfa, którzy na „dzień dobry" wcisnęli mu swoje wizytówki i chcieli się od razu pożegnać. Łosiowi zrobiło się ciepło, gdy tylko zobaczył, z kim ma do czynienia.

Stefan Niedzielak, dyrektor funduszu emerytalnego, o którego reklamy jeszcze niedawno podkomisarz potykał się na każdym kroku. Adrian Żubrzyk, prezes firmy developerskiej, o której słyszał, że praktycznie nabyła na własność kawałek Warszawy. Ten trzeci,

Ralph Kosicki, wydał się podkomisarzowi z początku nieco mniej ważny, choć też był dyrektorem czegoś tam, czego nazwa składała się z kilku dziwnych literek. Ale gdy Łoś zapytał, co oznacza ta nazwa, to wszyscy mężczyźni naraz spojrzeli na niego z niewypowiedzianym oburzeniem. A ów Ralph złowieszczo oznajmił, że te kilka literek to, ni mniej, ni więcej, tylko druga co do wielkości agencja PR na świecie. Policjant przełknął ze strachu ślinę, bo aż za dobrze wiedział, że od tego piaru jest uzależniony los całego państwa.

Dlatego pewnie sam Łoś już dawno spisałby jedynie obecnych i wypuścił ich do domu, ale na swoje nieszczęście znalazł na miejscu sojuszniczkę w postaci właścicielki Orient Espresso. To właśnie ona nie pozwoliła żadnemu z Bardzo Ważnych Dyrektorów opuścić swojego lokalu do czasu przybycia policji. A teraz oskarżała ich o to, że zabili tego gościa, który siedział w kawiarnianej toalecie z pałeczką do sushi wbitą w splot słoneczny. I o ile świadków podkomisarz mógł wypuścić, zostawiając ich przesłuchanie na czas późniejszy, o tyle z „podejrzanymi w sprawie" nie mógł już tego zrobić.

Oni sami naturalnie zaprzeczali, żeby mieli cokolwiek wspólnego z tym zabójstwem. Tylko siedzieli przy stolikach, wykorzystywali chwilę wytchnienia w ciężkim dniu pracy, pili swoje ulubione espresso i zapoznawali się z prasą. Żaden z nich nie zbliżał się do toalety.

A za wszystko był odpowiedzialny ten barman Karol, który po zabiciu nieszczęśnika zamknął drzwi toalety.

— Zrobić panu, panie komisarzu, kawki? — Łoś usłyszał koło siebie sympatyczny głos pani Agaty.

— Jeśli pani tak łaskawa — odpowiedział z wdzięcznością policjant. — Łeb już mnie boli od tego ich krzyku i nie wiem, od czego zacząć…

— To niech pan wyjdzie na zewnątrz i usiądzie przy stoliczku, listopad ciepły w tym roku, to jeszcze ich nie sprzątałam. — Wskazała gestem głowy mikroskopijny kawiarniany ogródek przed Orient Espresso. — A ja tu ich jeszcze chwilkę przypilnuję.

Łoś bardzo skwapliwie skorzystał z propozycji, co oczywiście zostało zauważone przez grupę Bardzo Ważnych Dyrektorów, która rzuciła się za nim. I pewnie wypadliby zaraz wszyscy na zewnątrz, gdyby drogi nie zastąpiła im pani Agata. Minę miała przy tym tak groźną, że gdyby nawet nie nacierała na nią grupa wściekłych mikrusów, ale wielkich jak dęby chłopów, to i tak stanęliby jak wryci.

Podkomisarz usiadł przy stoliczku i z nadzieją czekał na obiecane espresso, jakby wierząc, że ono pomoże mu cokolwiek wymyślić. Albo chociaż poprawi mu odrobinę humor, gdyż ten był teraz co najmniej wisielczy.

„Że też mi się musiała trafić taka zgraja ważnych dyrektorów. Czy nie mógłbym dostać wreszcie sprawy ze zwykłymi, normalnymi ludźmi?! Takimi, których mogę

natychmiast usadzić i pokazać, że władzy należy się szacunek? Ech… ja to jestem pechowy. Przecież takich bęcwałów to by się bał tknąć nawet inspektor Zasada. Albo nawet sam minister! Z takimi to by się tylko nie patyczkował ten idiota Przypadek…”

Podkomisarz Łoś podskoczył na krzesełku tak, jakby nagle w siedzenie wbito mu naraz przynajmniej tuzin igieł. Dlatego pani Agata musiała użyć całego dostępnego jej profesjonalizmu, żeby nie rozlać przyniesionej kawy.

— Coś się stało, panie komisarzu?

— Już chyba mam sposób na tych dyrektorów. — Łoś się uśmiechnął i wyciągnął z kieszeni telefon, by po chwili wystukać szybko numer na klawiaturze. — Smańko?… Macie tam jeszcze tego Przypadka?… To świetnie, przyprowadźcie go tu na miejsce zdarzenia na Osobnej… Co?!… Nie mam czasu odpowiadać na wasze głupie pytania, Smańko! Nie interesuje mnie, jak go tu sprowadzicie. Ma tu być i już!

— Myślę, Małgosiu, że na nas już czas. — Przypadek zerknął rozbawiony na salę, której ciekawość jakby powoli zaczęła opadać. Już od kwadransa nikt nie zrobił im żadnego zdjęcia, ludzie zaczęli zajmować się własnymi sprawami. Pojedyncze osoby, które czasem wchodziły, nie były w stanie zbudować atmosfery tego napięcia, jakie towarzyszyło im przez ponad godzinę.